

Marta Strzelec

(nie)Rzeczywistość (nie)postulowana – niepotrzebne skreślić

„(...) *Zwał* to (...) literacki eksperyment, który mógłby stać się kultową książką »dezerterów ze społeczeństwa konsumpcji«, to dzieło wywrotowe, maniackalne, zaraźliwe (...)” – te słowa czytamy na okładce książki Sławomira Shutego, a wygłasza je nie kto inny, tylko Wojciech Kuczok. Kluczowym słowem tutaj jest: „móc”. No właśnie. Mógłby się stać, ale się nie stanie. Dlaczego? Ponieważ przekłamuje rzeczywistość.

Literacki rynek przyjął *Zwał* z niewątpliwymi honorami. W zeszłym roku nagrodzono go paszportem „Polityki” i błyskawicznie przeniesiono na deski Teatru Polskiego w Poznaniu. Książka ta pomogła autorowi ugruntować swoją pozycję „proroka antykonsumpcjonizmu”. Zapytam nieśmiało: dlaczego? Cóż to za prorok, który pluje jadem, odziera świat z piękna, a na koniec pozostawia człowieka samego, drżącego i przerażonego, łkającego w rękaw menedżerskiej koszuli? Cóż to za prorok, co tylko potępia a nie pokazuje drogi? Shuty w swojej misji wydaje mi się co najmniej mało wiarygodny.

To właściwie główny zarzut, jaki mam wobec Sławka Shutego. Książka przyznam, jest ciekawa, niewątpliwie w pewnej mierze eksperymentatorska, ale trudno sobie tłumaczyć ten fakt inaczej, jak po prostu aktualnym trendem. W świecie, w którym wszystko już było, taki eksperyment stanowi cenny towar, który schodzi z lady (a za PRL-u schodziłby zapewne spod lady) jak świeże bułeczki (za PRL-u kilogram pasztetowej). Jest niczym fenomen Masłowskiej, o której wszyscy słyszeli, a mało kto czytał. Ale wróćmy do *meritum*, bo a nuż się rozpędzę jak pan autor.

Pierwszy problem interpretacyjny, to ustalenie kim tak naprawdę jest główny bohater. Plotka głosi, że to „młody pracownik w dziale obsługi klienta wielkiego zagranicznego banku”, który prowadzi ze sobą „namiętny monolog”

w formie „codziennych zapisków”. Na imię ma Mirek, ale tego czytelnik dowiaduje się dopiero na 101 stronie. Ów zabieg jest znaczący, choć wydaje się dość dziwny, zwłaszcza, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że książka liczy sobie skromne 245 stron. Jednak bohater, „młody pracownik w dziale etcetera” ma swoje alter ego w postaci absolwenta, który od dłuższego czasu bezskutecznie szuka pracy. Mniej więcej od połowy książki ich losy zaczynają się przeplatać ze sobą. Chwilami biedny czytelnik gubi się i traci rachubę, bo nie wie już, który jest który. Można zgadywać, że Shuty wprowadza retrospekcję, a absolwent jest wcześniejszą wersją pracownika banku. Jednak próżno by szukać miejsca, gdzie autor ową retrospekcję wprowadza. Nigdzie nie znajdujemy jasnego i dobitnego stwierdzenia, że „oto jest Mireczek, kiedy młodym był absolwencie”, a co gorsza, autor nie informuje nas o tym nawet pośrednio. Niestety w tę wersję również trudno uwierzyć, ponieważ pod koniec książki postaci są traktowane całkowicie wbrew prawom retrospekcji i broń kupiona przez „młodego pracownika” znajduje się nagle w rękach „młodego absolwenta”. Czyżby w takim razie cała historia była tylko snem szaleńca, snem proroczym i tak przerażającym, że jedyną ucieczką okazuje się ta w nicość? Można się jedynie domyślać.

I tu właściwie można by zakończyć rozważania na temat bohatera, gdyby nie jedno małe „ale”. Wystarczy przyjrzeć się uważnie, by zauważyć, że każda postać zarysowana jest w ten sam sposób. Grubą, niedokładną kreską. Szefowa Basia, jej sfrustrowane pracownice, upiorni rodzice Mirka (którego?), przypadkowa dziewczyna poznana w Internecie przez Mirka (którego?), a nawet sam młody Mirek (a właściwie obaj) – są bohaterami bez cech charakterystycznych. Ich umysły nie zostały „skażone” choćby jedną indywidualną myślą. Żyją, pracują, polują na target, chcą pojechać na Cypr, iść do kosmetyczki, znaleźć pracę, mieć święty spokój... i ? I nic ponadto. Shuty dokonał w swojej książce bardzo sprytnego zabiegu. Przeplatając świat przedstawiony z cynicznymi dygresjami na temat tegoż świata, stworzył pozór

jedności, której *de facto* tam nie ma. I moim skromnym zdaniem, chwile w jakich pojawiają się takie dygresje, to momenty, w których wkracza autor. Człowiek niewątpliwie bardzo wkurzony.

Ale jak zatem wygląda kwestia postaci? Chciałoby się rzec, iż mamy do czynienia z bohaterem zbiorowym - niewolnikiem w świecie konsumpcji, katem lub ofiarą, w zależności od tego jak wysoką pozycję zajmuje w łańcuchu pokarmowym „kurwy demokracji”. Lecz gdyby świat naprawdę tak wyglądał, i tylko tacy chodzili po nim ludzie, to nie byłoby ani sztuki, ani nauki, tylko kolejne filie Hamburger Banku, w których czas płynie nieuchronnie i coraz szybciej, aż do tragicznego w swym sadyzmie finału. Być może się myłę. A jeśli tak, to proszę zatrzymać ten świat Panie Sławku – ja wysiadam.

Dalej będzie krótko, zwięźle i dobijająco. Proszę się odprężyć, przyzwyczać, to tak już zostanie. Proszę czytelnika, oto jest nasz świat: „(...) Istnieją dwie kasty obywateli (...)” – garstka oficjeli oraz zdeorientowana tłuszcza, czyli my – Ty i ja. „(...) Żremy, śpimy, kopcimy się, stygniemy pod okupacją mediów, pod dyktatem technologii (...)”. Jeżeli (nie daj Boże!) pracujesz w banku, jesteś jedynie trybikiem w maszynie, niczym więcej niż wózek widłowy, którego operatorem okazuje siedzący na twoich plecach szef. Jeżeli jesteś (a prawdopodobnie jesteś) klientem banku, to nie możesz aspirować do miana człowieka, twoja egzystencja ulega utożsamieniu ze złotą, platynową kartą, punktem, numerem, jednym na tysiąc w tym miesiącu. Jeżeli wpłacasz duże pieniądze na długoterminowe lokaty, to jesteś „cacy”, a jeśli co miesiąc przychodzisz odebrać swoje pięćset złotych renty z regularnością szwajcarskiego zegarka, to jesteś „fe”, a tak w ogóle, to powinieneś przeproszać, że żyjesz. Jeżeli zajmujesz się polityką, to kłamiesz i kradniesz, jeżeli policjantem, to pojawiaasz się jedynie wtedy, gdy jesteś najmniej potrzebny, a stoisz z boku, kiedy katują niewinnego. Jeżeli jesteś mężem, to preferujesz telewizor od żony, jeżeli zaś żoną, jedyne uczucie, jakie żywisz wobec współmałżonka to niekłamany wstręt. Jeżeli jesteś kobietą, Twoją jedyną pasją

okazuje się malowanie paznokci, jeśli mężczyzną, to bądź pewien, że nigdy nie spotkasz prawdziwej Jennifer Lopez, a każde dziewczę, które będzie nieznacznie odbiegało od Twojego ideału, rozpoznasz i potraktujesz jak „fatalną” (w swej urodzie) „tirówkę” (w swym zawodzie).

Kimkolwiek byś nie był zdradzasz i kłamiesz. Okłamujesz samego siebie, jeżeli myślisz, że jest inaczej. Nie ma już świata, są tylko podzespoły, a jeżeli Bóg istnieje, to musi być hamburgerem.

Moim zdaniem największa wada *Zwału* – polega na skrajnej jednostronności. Autor nie pozostawia wątpliwości, ani miejsca na polemikę z koczarnym obrazem, który kreuje. Oczywiście, każdy ma prawo do własnej opinii, jednak nie wszyscy ponoszą jednakową odpowiedzialność za swoje słowa, i musi o tym pamiętać intelektualista, pisarz i twórca, o ile nie pisze do szuflady, a jego książki wydawane są w kilkutyśiącym nakładzie. Pokazywać świat bez miłości, przyjaźni i żywego człowieka, to tak jakby pisać, że nie było Oświęcimia. Na taką wizję świata nie powinno być zgody. Nie ma. I nie będzie. I chciałoby się rzec tylko „a jednak się kręci...”.

Zwał jest niewątpliwie ciekawą książką, jednak literacko, bardzo nierówną. Przede wszystkim ze względu na język. Właściwie mamy tu do czynienia z językową hybrydą, którą tak naprawdę nikt poza autorem się nie posługuje. Chwilami przypomina ona Hydrę Lernejską o setce głów, z których każda miała jednakowo jadowity język. I tak, jedna głowa mówi profesjolektem kadry bankowej, mówi wartko i bez zastanowienia o targetach, podmiotach indywidualnych, enginach trzeciego Q, cokolwiek to znaczy. Inna z kolei posługuje się ulicznym socjolektem, tak leniwym w swej oszczędności, że nawet proste przywitanie skraca do lapidarnego „cze”. Kolejny łeb świetnie się bawi profanując język sakralny, odmawiając stylizowane religijnie modlitwy na cześć szefowej Basi lub dowolnej innej ikony popkultury. Doprawdy, niełatwo wyodrębnić wszystkie składowe tego hybrydalnego języka. Jednak jeszcze dwie z nich bezlitośnie rzucają się w oczy. Jedna jest językiem reklam i sloganów, to

modne słowa, szoł, lajf i kul. Drugą można by określić jako operację na żywym organizmie wspólnego społeczeństwa języka tradycji i frazeologii, polegającą na modyfikacji tych ostatnich, okrutną zabawę lingwistyczną. Często pojawiają się zatem zwroty takie jak: „w jądrach ciemności”, „nie od razu Irak zbombardowano”, „pierwsze lody zostały zrobione”. Niekwestionowane mistrzostwo w operowaniu słowem i na słowie, przypominające maetrię, jaką osiąga kat w sztuce torturowania. W tym szaleńczym korowodzie wulgaryzmy przemykają praktycznie niezauważone, chyba że pojawiają się w zestawieniu ze słowami, które stanowią odrębną kategorię znaczeniową – demokracja, Bóg, honor, ojczyzna – i wtedy dopiero wywołują oburzenie. Można odnieść wrażenie, że język prosty, codzienny wymarł już doszczętnie i stracił swoje znaczenie jako narzędzie komunikacji międzyludzkiej, gdyż jedyni ludzie, którzy się jeszcze nim posługują, z reguły pałają do siebie wzajemną nienawiścią.

Muszę przyznać, że zabieg językowy, którego dokonał Shuty jest całkiem udany pod względem technicznym. Owszem, zdarza się kilkakrotnie, że autor popada w pułapkę kumulacji treści w jednym zdaniu, która zamienia je w kompletny bełkot, ale to można wybaczyć, bo książkę mimo wszystko czyta się stosunkowo płynnie. Powiedzieć, że autor operuje jedynie ironią i groteską, to za mało. Być może trzeba stworzyć nową kategorię stylistyczną, by określić czym tak naprawdę jest język Shutego – to język gniewu i nienawiści, wulgarnego sarkazmu i zgorzkniałego cynizmu, język człowieka bardzo rozczarowanego rzeczywistością zastaną, jednak bez żadnych aspiracji do jej zmiany.

Niebezpieczeństwo czai się jednak zupełnie gdzieś indziej. Pozostajemy w kręgu tradycji, w której to język kształtuje naszą rzeczywistość, stanowiąc zarazem podstawowe narzędzie komunikacji. Wizja świata wykreowanego przez autora *Zwału* nosi znamiona bardzo przygnębiającej interpretacji – poddana twórczej obróbce rzeczywistość okazuje się światem bełkotu i oscyluje

między szaleństwem i patologią. I nie byłoby to tak dalekie od prawdy, gdyby nie fakt, że ze słownika Shutego usunięte masowo zostały słowa i zwroty, które pozwalają szaremu człowiekowi pozostać przy zdrowych zmysłach. Słowo „kocham” wypowiada bohater bezwiednie, w trakcie rozmowy przez Internet z obcą kobietą, nigdy wcześniej nie zobaczywszy jej twarzy. Stanowi ono jedynie środek do osiągnięcia celu, a odwołanie wcześniejszego wyznania przychodzi bohaterowi niezwykle łatwo. Takie wybiórcze traktowanie języka odpowiada selektywnemu traktowaniu świata i mogę jedynie powiedzieć, że współczuję szczerze człowiekowi, który tak postrzega i doznaje.

Niestety nie mogę oprzeć się wrażeniu, że moja rzeczywistość i rzeczywistość Sławka Shutego to dwa różne światy, odległe od siebie o tysiące lat świetlnych. Nic na to nie poradzę, że po prostu mu nie wierzę. Mówimy różnymi językami, dlatego też autor *Zwału* z pewnością nie zostanie moim prorokiem. Nie zmienia to faktu, że książka jednak jest jedynym w swoim rodzaju, wartym przeczytania utworem. Ale nie jako dzieło przełomowe, lecz interesujący, literacki eksperyment, który „mógł”, a któremu się nie udało.